

## **Krzysztof Dorosz: O świetle Zachodu**

Człowiek jest wprawdzie *capax Dei*, ale nasza postrenesansowa cywilizacja tę jego naturalną zdolność wyczucia Boga stopniowo zepchnęła do ciemnych lochów ludzkiej duszy. Dlatego też sceptycznie zapatruję się na propozycję katolickiego marszu przez instytucje – pisał Krzysztof Dorosz w recenzji książki Bartosza Jastrzębskiego „Światło Zachodu; Szkice o myśli i kulturze chrześcijańskiej”, która ukazała się nakładem fundacji Augusta Hrabiego Cieszkowskiego.

**Wesprzyj wydanie książki Krzysztofa Dorosza i Bartosza Jastrzębskiego *Listy o wolności i posłuszeństwie***

„Kto nas uratuje od cywilizacji Zachodu?” — pytał w 1919 roku György Lukács, wybitny teoretyk komunizmu, a zarazem działacz, który drogę do nowego wspaniałego świata wytyczał przez rewolucyjne zniszczenie zastanego porządku. Nie on jeden. Podobnie czynili, lub choćby myśleli, inni komuniści, podobnie widzieli swoje powołanie narodowi socjaliści. Przyświecało im stare marzenie o zbawieniu przez zniszczenie błakające się na obrzeżach europejskiej kultury. Swoją siłę i rozmach czerpało z jeszcze starszego marzenia o zbawieniu przez grzech. To marzenie zostało niegdyś powołane do istnienia w zawrotnym pandemonium rojeń, obrazów i myśli, których niespokojny nurt wypływał z ciemnych gnostyckich źródeł. Z czasem, w miarę odchodzenia od gnostyckiej wizji skoncentrowanej na boskiej pleromie, miało się ono spełnić w wewnątrzświatowej apokalipsie inicjowanej i

wcielanej w życie nie przez Boga, lecz tylko przez człowieka. Jednym z najważniejszych celów owej już świeckiej apokalipsy było zniszczenie chrześcijaństwa. Kościół bowiem unicestwiał wrodzoną człowiekowi potrzebę spełnienia, trzymając go w duchowym domu bez klamek, gdzie królowały baśnie i zabobony niegodne dojrzałego wieku nauki, wolności i moralnego samostanowienia.

Dziś ta apokalipsa, przynajmniej na pewien czas, poszła w zapomnienie. W zapomnienie natomiast nie poszło marzenie o zbawieniu przez zniszczenie, choć przybrało ono formy łagodne, a nawet dobrotliwe. Pełna przemocy rewolucja? Gwałt, który się gwałtem odciska? Ach nie, to droga nieludzka, przestarzała i niepotrzebna. Dziś marzycielom przyświecają szlachetne ideały tolerancji i politycznej poprawności, powszechnej równości i ludzkiej różnorodności. Czyż spełnienie tych ideałów nie przyniesie nieskończonego bogactwa stylów życia i przepojonych humanizmem światopoglądów, które przeistoczą nas w aniołów? Dość już zamknięcia w świecie przenikniętym tradycyjnymi wartościami! Dziś natchnienie płynie ze świetlistej wizji „otwartego umysłu” – na wskroś liberalnego, pobłażliwego i wyrozumiałego.

I tu dochodzimy do osobliwej sprzeczności skrytej w pomrokach tajemnicy bytu. Bo zawarty w owej wizji umysł tak bardzo gotów jest do przyjęcia niemal wszelkich pomysłów, tak bardzo jest na wszystkie strony otwarty, że rozum z niego co krok wypada na ziemię. Powstała w ten sposób bezrozumna pustka zasklepia się, tężeje w jądrze ciemności i takie widzi świata koło, jakie tępyimi zakreśla oczy. Nie dziwota więc, że otwarty umysł wzdraga się przed dobrem, prawdą i pięknem, zwłaszcza gdy niepoprawni politycznie mądrze przypisują im transcendentne pochodzenie. Lecz otwarty umysł nie tylko się przed

*Otwarty umysł nie tylko się  
przed prawdą czy pięknem  
wzdraga i zamyka, lecz tępi je  
i prześladowuje, widząc w nich  
przejaw humanofobii.  
Podobnie traktuje  
chrześcijańską wiarę*

prawdą czy pięknem  
wzdraga i zamyka,  
lecz tępi je i  
prześladuje, widząc  
w nich przejaw  
humanofobii.  
Podobnie traktuje  
chrześcijańską wiarę.  
Wzorem György  
Lukácsa i jego  
światopoglądowych  
pobratymców ma ją

za wymysł antyludzkich oprawców człowieka. Przecież ich celem — jak wszem i wobec ma być wiadomo — jest najpierw odebranie ludziom należnej im rozkoszy życia, potem zaś ich duchowe zniewolenie za kratami wyssanej z palca teologii i moralności.

To optymistyczne, a zarazem skrycie niszczycielskie przesłanie otwartego umysłu coraz bardziej przenika nasz świat i coraz silniej oddziałuje na nasze uczucia i myśli. Wchłaniamy je nieraz niewidocznie i niepostrzeżenie, nieświadomie i mimowolnie. Zwłaszcza, że do liturgii religijnej przystępujemy wypełnieni po brzegi „liturgiami” zakupów w świątyniach komercjalizmu czy arcybogatymi rytuałami rozrywki i rozproszenia. Słowem, proces duchowego i religijnego rozkładu, który toczy kulturę europejską — pisze Bartosz Jastrzębski — sięgnął już bardzo a bardzo głęboko (s. 55).

Dlatego też kończąc lekturę *Światła Zachodu*, pomyślałem sobie, że być może autor tej książki powinien otrzymać tytuł *Defensor Fidei*. Mówię to wprawdzie z lekkim wewnętrznym uśmiechem, ale bez żartów czy

ironii. Wszystko, co pisze, nie tylko broni wiary chrześcijańskiej, ale pokazuje jej głęboki sens wobec bezsensu niewiary, która grozi zniszczeniem naszej kultury. Grozi niekoniecznie gwałtownym wybuchem, ale powolnym rozpadem. „Oto jak kończy się świat — pisał T.S. Eliot — nie z hukiem lecz ze skomleniem”. Więc może dzisiaj, jak może nigdy przedtem, świat potrzebuje takich obrońców wiary jak Bartosz Jastrzębski. Pytanie tylko, czy zdoła się on przebić przez głupotę i bezmyślność wyrosłe na dogmatach sekularyzmu? Czy jego subtelne rozważania nie dostaną się w tryby niechcianej przezeń dogmatomachii, „pełnej krzyków i wrzasków, które nic nie znaczą”?

W tym miejscu pora karty wyłożyć na stół i zapowiedzieć, że nie będę pisał bezstronnego i obiektywnego omówienia *Światła Zachodu*. Przez przeszło półtora roku wymieniałem z Bartoszem Jastrzębskim listy na łamach „Teologii Politycznej”. Przez ten czas zaprzyjaźniłem się z nim i poznałem jego obraz świata, dla którego żywię niekłamanym szacunek. Wprawdzie dzieli nas wiele — choćby to, że on jest katolikiem, ja zaś protestantem — ale łączy jeszcze więcej. Wszak nasze myślenie i nasze poglądy ukształtowała ta sama Dobra Nowina. Toteż nie będę się silił na ferowanie wyroków z wyżyn recenzenckiego Olimpu, lecz zaoferuję Czytelnikowi *meditatio in persona sua*, czyli własne refleksje na temat zamglonego dziś światła Zachodu.

Dlaczego zamglonego? Dlatego, że owo światło, ów chrześcijański fundament cywilizacji zachodniej, nie świeci już dawnym blaskiem w naszej kulturze. Bo choć przyszło do nas już dawno i rozświetlało mroki naszego życia, ostatnimi czasy nawet ludzie mieniący się chrześcijanami z coraz większym trudem je poznają. I o tym jest mowa niemal na każdej stronie książki Jastrzębskiego. Jednocześnie niemal

*Owo światło, ów  
chrześcijański fundament  
cywilizacji zachodniej, nie  
świeci już dawnym blaskiem w  
naszej kulturze*

na każdej stronie  
mowa jest o  
przemierzaniu  
duchowych ścieżek  
przez człowieka,  
któremu to światło  
nie tylko nie jest  
obce, lecz zgoła  
konieczne do życia.

I tak, na przykład, autor broni myślenia dogmatycznego. Lecz nie chodzi mu jedynie o dogmaty ściśle religijne czy polityczne, lecz przede wszystkim o zasady pierwsze, o niezłomne drogowskazy ludzkiego życia wynikające tak z rzeczywistych dogmatów, jak i z tradycji, tak z wiary, jak i z myślenia zakorzenionego w duchowym chrześcijańskim kosmosie. Przeciwstawia tym zasadom wolność w jej współczesnym wydaniu, pisząc, że wolność nie u s t a n a w i a wartości. Oczywiście! Wolność wprawdzie jest w stanie ustanawiać wartości, lecz tylko wówczas, gdy obdarzony nią człowiek ulegnie wiadomym podszeptom wmawiającym nam, że jesteśmy jako bogowie. Dlatego właśnie przekonująco brzmią cytowane przez Autora słowa Jana Pawła II: „Prawdziwa autonomia moralna człowieka nie oznacza bynajmniej odrzucenia, ale właśnie przyjęcie prawa moralnego” (s. 71).

Jastrzębski apeluje także o „katolicki marsz przez instytucje”. Odrzuca wstyd narzucony chrześcijańskiej wierze przez fundamentalistów nowożytności i nihilistów postmodernizmu. Chce wyznawać wiarę z podniesionym czołem nie tylko w kościele i zaciszu domowego ogniska, lecz także między ludźmi i w tworzonych przez nich instytucjach. I w

tym mu przyklaskuję, choć mam niejedną wątpliwość. Po pierwsze — jak nietrudno się domyślić — ja jako protestant zastąpiłbym słowo „katolicki” słowem „chrześcijański”, choć wraz z luterańskim teologiem Paulem Tillichem przyznaję, że katolicyzm w większym niż protestantyzm stopniu zachował duchową substancję, niestety nierzadko zamkniętą w twardej kościelnej skorupie. Nieraz przywoływany przeze mnie w naszej korespondencji Karl Barth pozostawał w dialogu z katolicyzmem i chciał się od niego uczyć, bo — jak pisze jeden ze znawców szwajcarskiego teologa — choć pod wieloma względami był wobec Kościoła katolickiego bardzo krytyczny, jeszcze bardziej krytyczny był wobec Kościoła protestanckiego.

*Ścisłe i rzetelne naukowe  
myślenie nie rości sobie  
pretensji do objęcia całej  
rzeczywistości. Tymczasem  
potoczna naukowa postawa,  
często prostacko  
mechanistyczna i  
materialistyczna, zawojowała  
świat i zamgliła światło  
Zachodu*

Idźmy dalej. Myślę, że i jeden, i drugi nurt chrześcijaństwa (o prawosławiu wiem zbyt mało) popłynął w niemałej mierze przez krainę nowożytności naznaczonej zgubnym nominalizmem i woluntaryzmem oraz zrodzoną pod ich pośrednim wpływem

rewolucją naukową, która radykalnie oddzieliła naturę (rzekoma *natura pura*) od rzeczywistości nadprzyrodzonej. Czy to ma sens? Czy nauka musi być ślepa na Niebiosa i posuwać się do przodu z nosem wetkniętym w ziemię? I czy pełna pychy musi dyktować nam światopogląd uwięziony w ziemskiej rzeczywistości?

Ścisłe i rzetelne naukowe myślenie, świadome własnych założeń i własnej metody badawczej, czyli własnych ograniczeń, nie rości sobie pretensji do objęcia całej rzeczywistości. Tymczasem potoczna naukowa postawa, często prostacko mechanistyczna i materialistyczna, zawojowała świat i zamgliła światło Zachodu. Naznaczyła całą naszą świadomość przez ostatnich kilka stuleci i dawna synteza chrześcijańsko-platońska, jakżeż życiodajna dla pełnego ludzkiego istnienia, uległa zagubieniu i zapomnieniu. Transcendencja, Niebios, tajemnicza kraina platońskich idei pokryły się ciemną patyną wieków i znalazły w sferze czystej wiary szybującej nad ziemią w złocistych oparach zmyślenia. Między naturą a światem nadprzyrodzonym nowożytność najpierw stworzyła przepaść, metafizykę zaś z czasem ochoczo włożyła między bajki. Bo wiara — jak powiedział Mark Twain — oznacza uznanie rzeczywistości, która nie istnieje.

Na szczęście nie wszyscy poszli tą drogą. Dobitnie świadczą o tym słowa Autora, kiedy wyraźnie daje do zrozumienia, że nie ma nic takiego jak *natura pura* i pisze: „Materia jest z natury swej objawieniem niewidzialności [...] nie jest substancją od ducha niezależną, nie jest jakąś ‚drugą‘, mroczną substancją staroperskich dualizmów. Jest raczej — jak byśmy to mogli ująć przez analogię do dzisiejszych nauk ścisłych — formą ‚skupienia‘ ducha, tajemniczą formułą jego przejawiania się w widzialności” (s. 138). Nic dodać, nic ująć!

Ale czy powiedzenie, że materia jest formą skupienia ducha może trafić do człowieka współczesnego, zaprzątniętego „niemal wyłącznie doczesnymi, przemijającymi korzyściami, wygodą, przyjemnościami, dostatkami jadła i napoju, feerią zmysłowych doznań?” (s. 34) Człowieka, który, jeśli w ogóle myśli, żyje w przekonaniu, że nawet

reguły rozumu są „represywne, wąskie, ekskluzywne, zbyt sztywne z jednej strony, a z drugiej jakże łatwe do relatywizacji”? (s. 22) Czy wspartych wiarą argumentów Jastrzębskiego nie uzna ten człowiek za rajską dziedzinę ułudy wzniesioną na przesądach światła ćmiących? I jeśli ów człowiek jest typowy dla otaczających nas gremiów, to zaiste trudno mi sobie wyobrazić katolicki marsz przez instytucje.

Przecież ten człowiek nie pojmuje i nie chce pojąć ani istnienia, ani tym bardziej sensu rzeczywistości duchowej. Nie zdaje sobie sprawy, że „dopiero wymiar religijny, wertykalny, nadaje rzeczom i zjawiskom sens i głębię. Dopiero kiedy przyjmujemy i wierzymy, iż wszystko tajemniczo zakorzenione jest w Absolucie, świat staje się godzien szacunku, a życie — warte przeżycia” (s.18). Podobną intuicję miał C.S. Lewis, który pisał, że ci chrześcijanie najwięcej dobrego dla naszego świata zrobili, którzy myśleli głównie o Niebiosach.

Lecz któż by chciał dzisiaj myśleć o Niebiosach? Przecież wiemy, jakie pragnienie owładnęło ludźmi po upadku wieków średnich. „Przestańmy służyć przebywającemu gdzieś w światłości niedostępnej Bogu i sami przejmijmy jego obowiązki; własnemu ‚ja’ — własnej oddzielności — tylko jemu złożymy poddańczy hołd” (s.37). W tych słowach tworzących wizerunek nowożytnego człowieka bardzo dobrze widać katastrofę chrześcijańsko-platońskiego myślenia, do której tak bardzo przyczynił się ziemski „realizm” zapoczątkowany już w średniowieczu. Z rozważań Dunska Szkota, na przykład, wypływa obraz „irracjonalnego” Boga, któremu przysługuje arbitralna wola oraz niczym nieograniczona moc i władza (*potentia absoluta*). Co z tego wynika dla późniejszych wieków? Ach to, że Bóg nie jest bytem samym w sobie (*ipsum esse*), lecz jednym z mnogości bytów, choć nieskończonym i niepojętym, a jego nieprzeniknione wyroki są nam dalekie i majaczą w gęstej ciemności.

Jest On oczywiście bytem największym i najważniejszym, ale my jesteśmy tutaj, na ziemi, zanurzeni w naturze i kudy nam do Niego. Materia objawieniem niewidzialności? Cóż za niedorzeczność!

A skoro Bóg jest tak daleko, skoro tak bardzo jest oderwany od ludzkiej rzeczywistości, nam zwykłym śmiertelnikom pozostaje wolność — „prawo do robienia wszystkiego, co nie narusza autonomii i autoekspresji innych”. Jastrzębski kwestionuje oczywiście to prawo, stwierdzając, że „wolność jest wielkim mitem, złotą, a właściwie niestarannie pozłacaną, legendą nowożytnego Zachodu. Jednym z mocnych założeń składających się na ów mit jest przekonanie, iż człowiek bardziej potrzebuje wolności niż ładu” (s. 44-45).

*Wolność sprzymierzona z  
prawdą pierwszych zasad, z  
mądrością rozumu i wiary, jest  
jednym z warunków  
prawdziwego ładu*

Ład bowiem — nie  
pragmatyczny, lecz  
metafizyczny —  
dawno już w naszej  
kulturze przestał  
cieszyć się wzięciem.  
Z fundamentu  
ludzkiego życia

przeistoczył się w potocznej świadomości w świąteczną dekorację. Stąd gloryfikacja wolności, stąd również tęsknota za ładem, choćby w autorytarnej postaci pozbawionej zakorzenienia w rzeczywistych wartościach. Stąd też wysiłki nielicznych myślicieli, na przykład Erica Voegelina, który swoje wielkie pięciotomowe dzieło nazwał „Poszukiwaniem ładu”. Wolność zaś, wolność sprzymierzona z prawdą pierwszych zasad, z mądrością rozumu i wiary, jest jednym z warunków

prawdziwego ładu. Jest nie tylko niestarannie pozłacaną legendą, lecz także duchowym skarbem дарowanym nam przez Boga, o czym Bartosz Jastrzębski wie przecież doskonale.

Wie, ale czy ta wiedza pozwoli mu przemówić do przekonania człowieka, który bez namysłu odrzuca ład na rzecz wolności? Nie, nie przemówi — chyba że z trudem i nie od razu. Mam zatem nadzieję, że ów człowiek, jeśli nie jest zakamieniały i na wskroś przeniknięty pychą, będzie kiedyś przeżywał chwilę zagubienia i wątpliwości. I może właśnie w owej chwili — za sprawą niepojętych wyroków Opatrzności — sięgnie po *Światło Zachodu*. Sięgnie, przeczyta, otworzy ze zdumienia oczy i dozna choćby mglistego poczucia, że nie jest panem stworzenia, lecz tylko „przyziemnym egoistycznym „ja””. A jeśli chce wznieść się wysoko i okryć królewskim płaszczem, to tylko w wymiarze duchowym, nie zaś składając hołd samemu sobie. Toteż jeśli wmyśli się we wszystko, co Autor pisze, może zda sobie sprawę, że jest tylko „zarządcą Opatrzności”, któremu powierzono pod uprawę ogród. Powierzono, by służył, a nie dano do „panowania”, by zaspokajał jedynie własne potrzeby.

Powie może Jastrzębski, że fantazuję, że człowiek współczesny nie sięgnie po jego książkę. Ale moja fantazja płynie z niewiary w zdolność tego człowieka do uznania Transcendencji, nawet jeżeli jej przesłanie maszerowałoby przez instytucje. A jeśli nawet owa istota, ukształtowana przez scjentystyczną nowożytność i w niej zamknięta, uczyniłaby w swoim myśleniu wyłom dla tak zwanej „wyższej rzeczywistości”, czy byłaby w stanie pogodzić się z duchowym panowaniem wiary i Kościoła? Wątpię. Autor sam przecież pisze, że

„dziś właśnie żyjemy w czasach, gdy ogromne masy ludzkie straciły zdolność pojmowania Tradycji i siebie samych jako Tradycji tej nosicieli i piastunów” (s. 64).

Człowiek jest wprawdzie *capax Dei*, ale nasza postrenesansowa cywilizacja tę jego naturalną zdolność wyczucia Boga stopniowo zepchnęła do ciemnych lochów ludzkiej duszy. Dlatego też sceptycznie zapatruję się na propozycję katolickiego marszu przez instytucje. Nie, nie dlatego, że marsz to ma być katolicki. Przyklasnąłbym mu ochno, gdybym wierzył w jego powodzenie i był przekonany, że większość jego uczestników to ludzie tacy jak Bartosz Jastrzębski. Zwłaszcza że wiara — jak nieraz mówili mądrzy chrześcijanie — to nie tyle zestaw twierdzeń i reguł, ile żywa relacja ze Zmartwychwstałym. Toteż skłonny jestem sądzić, że „przywrócenie ładu życia opartego na odniesieniu do Transcendencji” — jak ujmuje to Jastrzębski — czyli powrót do autentycznej wiary, lepiej może się powieść w intymnych sytuacjach, takich jak lektura *Światła Zachodu*. Czego życzę Bartkowi z całego serca.

*Krzysztof Dorosz*

***Wesprzyj wydanie książki Krzysztofa Dorosza i Bartosza Jastrzębskiego Listy o wolności i posłuszeństwie***